

Jak co dzień, o 13:30, Marek wyszedł z firmy by przetrącić coś ciepłego w pobliskim lunch-barze. Gdy opuścił chłodne wnętrza biurowca załała go fala słonecznego żaru. Oślepiony przez słońce zamrugał powiekami. Stał przez parę sekund przyzwyczajając wzrok i nagle opanowało go przeczucie, że dzieje się coś dziwnego. Zmrużył oczy.

Ulica wypełniona była stojącymi samochodami.

Taki korek, tutaj? - zdziwił się.

Kierowcy zamiast siedzieć w autach, wściekając się i trąbiąc raz po raz, stali obok i niepewnie się rozglądali. Niektórzy z przejęciem słuchali radiowych wiadomości.

Po drugiej stronie ulicy, przy witrynie sklepu z telewizorami, zebrał się kilkudziesięcioosobowy tłum.

Zupełnie jakby była wyprzedaż - pomyślał.

Dopiero teraz, z opóźnieniem, dotarł do jego uszu niesamowity jazgot setek odbiorników radiowych i ponury pomruk rozemocjonowanych ludzi.

Co jest grane? Co się dzieje?

Pierwsze skojarzenie jakie mu przyszło do głowy to, że może właśnie zaczął się kolejny 11.09, tyle tylko, że dla odmiany w Polsce. Zaraz potem oczyma wyobraźni ujrzał scenę z filmu "Znaki", gdzie nad największymi miastami świata wisiały złowrogie flotyle statków kosmicznych obcej cywilizacji.

Spojrzał na niebo. Było takie jak zawsze, błękitne, upstrzone gdzieś tam niegroźnymi puszystymi chmurkami.

Przebiegł przez ulicę i lawirując między autami dotarł do sklepu z telewizorami. Z trudem wcisnął się w kotłujący się podniecony tłum i po paru chwilach udało mu się ujrzeć to, co wywołało takie zamieszanie.

Lodowaty dreszcz przebiegł mu po karku, aż zadzwonił zębami jakby nagle dostał ataku febry. Serce zaczęło walić jak młot coraz bardziej przyspieszając. Zazwyczaj byłby przerażony. Myślałby, że dopadł go przedwczesny zawał i za udział w korporacyjnym wyścigu szczurów przyjdzie mu zapłacić najwyższą cenę. Ale teraz nie zwracał na to uwagi. Stał ściskany przez gęstniejący tłum, sparaliżowany lękiem a jednocześnie zafascynowany tym, co zobaczył.

- Przepraszam pana, czy to żart? - spytał drżącym głosem staruszek stojący obok niego.

W pierwszej chwili Marek nie wiedział, co mu odpowiedzieć. Wyrwany z przerażającego transu w głowie miał kompletną pustkę. Jeśli to, co widział, ma być końcem wszystkiego, to lepiej, żeby staruszek miał tego świadomość. Czas na to, by się z tym faktem pogodzić, uporządkować swoje życie, pomodlić się, czy... w ułamku sekundy stać się buddystą wierzącym w zjednoczenie z Wyższą Energią.

- To nie jest film? - dopytywał się z niedowierzaniem.

- Niestety - odparł Marek.

Niebo, na ekranie telewizora, upstrzone było czarnymi sześcianami.

Co to jest? Czy coś dziwnego wydarzyło się w tym całym chorym eksperymencie ze zderzaczem hadronów? Może naukowcy stworzyli dziwadełko - niespotykaną materię, która rozprzestrzenia się w zastraszającym tempie i przemienia znane nam cząsteczki w podobne sobie, niespotykane w naszym świecie?

Wyrwami w chmurach też nie było można tego nazwać - przecież musiały by być widoczne gwiazdy a nie jedynie martwa nieprzenikniona czerni. I jeszcze te dziwne kształty... może to UFO? Przecież pojawiało się draństwo tak nagle i praktycznie znikąd - w jednej sekundzie błękit nieba, chmurka i nagle BUM! zamiast chmurki smolisty sześcian...

Rozległ się histeryczny kobiecy krzyk, niewiarygodnie wysoki, aż cierpła skóra na karku.

Marek chciał zobaczyć co się dzieje, ale nie mógł się odwrócić - był unieruchomiony przez napierającą ludzką masę.

Coraz więcej krzyków. Ktoś się głośno modlił, ktoś inny histerycznie śmiał.

Nacisk tłumu trochę zelżał i Marek mógł się wreszcie poruszyć. Spojrzał w niebo. Pojawił się na nim czarny sześciąt, który pochłoniął fragment drapacza chmur.

W ciele mężczyzny zapanowało istne tornado. Serce biło jak oszalałe. Żołądek ściśnięty w bolesnym skurczu. Pot spod pach ściekał zimnymi strużkami a w uszach narastał jednostajny szum. Zaczęło mu się robić słabo i byłby zemdłą gdyby nie myśl, która huknęła mu w głowie jak uderzona przez żartownisia tuż przy uchu papierowa torebka:

Marta! Alicja! O Boże! - przypomniał sobie, że przecież, gdzieś tam, na drugim końcu miasta, są dwie przerażone kobiety. Sens jego życia. Żona i córka.

Drżącą ręką wyciągnął komórkę. Palec latał mu jak u dręczonego delirką pijaczyny, ale w końcu udało mu się wyszukać odpowiedni numer. Przycisnął telefon do ucha. Nagle na niebie pojawiło się kilka nowych sześciątów. Jeden z nich wchłoniął przelatujący samolot i przesłonił słońce. Ulicę zalał złowieszczy cień. W słuchawce wybrzmiał komunikat, że sieć jest przeciążona.

A jakże by, kurwa, inaczej - pomyślał wściekły.

Wiedział, że musi się do nich jak najszybciej dostać. Przejął go lęk o to, czy tam, gdzie mieszkają, wszystko jest jeszcze w porządku. Biorąc pod uwagę to, co się dzieje, żaden samochód nie wchodził w rachubę.

Może pobiec? Nie, to raczej niemożliwe - czy koleś wypalający codziennie paczkę papierosów mógłby przebiec przez pół miasta niczym maratończyk na dopingu?

Marek stał bezradnie lustrując okolicę nerwowymi spojrzeniami. Potrącany przez biegających chaotycznie rozwrzeszczanych ludzi, poganiany narastającą paniką, w końcu ujrzał rozwiązanie i już po chwili był obok opartego o skuter chłopaczka, który z rozdziawionymi ustami wpatrywał się w niebo. Popchnął go i błyskawicznie wskoczył na siedzenie. Silnik był na chodzie. Marek wcisnął pedał gazu i ruszył lawirując między samochodami i ludźmi.

Albo to koniec świata, albo przechodzimy w inny wymiar. Tak, czy tak, 1: 0 dla cholernych Majów, a koleśowi ten skuterek już się na nic nie przyda - odruchowo zaczął się sam przed sobą usprawiedliwiać.

Wjechał na wolny od samochodów chodnik. Trąbiąc bez przerwy zygzakował między odskakującymi w ostatniej chwili ludźmi. Nie zamierzał niechcący kogoś przedwcześnie uśmiercić – ot, tak na wszelki wypadek, jakby się miało okazać, że to jeszcze nie jest koniec świata.

Wszystko pociemniało. Sześciatki pojawiały się tak szybko, jak pryszcze na twarzy dojrzewającego nastolatka. Miasto tonęło w półmroku tylko gdzieniegdzie rozświetlanym kolumnami słonecznego światła.

Marek pędził na skuterze, tak szybko jak to było tylko możliwe. Zimny wiatr boleśnie wciskał mu się w uszy, zmroził wysuszone gardło. Oczy łzawiły. Ryzykował, że za chwilę zginie - zderzy się z czymś lub kimś. Z drugiej strony, gdyby jechał ostrożniej mógłby nie dotrzeć na czas. Nie utuliłby Alicji i Magdy. Nie wyszeptałby im kojącym głosem, że wszystko będzie dobrze (choć wiedział, że tak nie będzie). Nie usłyszałyby po raz ostatni jak bardzo je kocha. A może to tylko sen? - zdziwił się, że mu to wcześniej nie przyszło do głowy i była to jego ostatnia myśl; ułamek sekundy później przestał istnieć. Zniknął w nicości sześciatki, który pojawił się na jego drodze.

Marek został wykasowany z rzeczywistości.

-----

Planeta N'shaar. Czas: przed ziemskim końcem świata.

N'shaar, miejsce tak dziwne, że człowiekowi ciężko by było sobie wyobrazić. Smoliście czarna kulka dryfująca w mlecznobiałym wszechświecie. Z zewnątrz wyglądała na martwą i istotnie na jej powierzchni nie było ani jednego żywego organizmu - za to jej wnętrze, to już zupełnie inna sprawa; tętniło życiem. Przeorane ogromnymi tunelami przypominało gąbkę. Tunele pokryte były świecącymi jaskrawą zielenią gigantycznymi naroślami, które w rzeczywistości były miastami. W jednej z "narośli" - w mieście Gaa'nth kończyły się przygotowania do ważnego eksperymentu. Na obrzeżach miasta, w strefie przylegającej do powierzchni tunelu znajdował się kompleks laboratoriów HNAA'CS. W miejscu tym rozwijane były najbardziej zaawansowane technologie.

Szary, rozmyty kształt będący w rzeczywistości jednym z mieszkańców planety, przekazał za pomocą uderzenia myślowego polecenie do biotera (specyficznego komputera mającego wytworzyć sztuczną rzeczywistość i sztuczne życie).

Pojawiła się seria rozbłysków. Zgromadzeni w pomieszczeniu naukowcy wyostrzyli moany by móc odbierać wiązki myślokształtów. Nie potrzebowali wykresów, opisów, zdjęć, wszystkie eksperymenty zawsze doświadczali na sobie za pomocą zmysłu zwanego moaną. W ciągu ich kilku minut odebrali z biotera ogromny przekaz myślokształtów świadczący o tym, że eksperyment zakończy się sukcesem. Ich umysły przeniknęły symulację wszechświata i przefiltrowały miliardy lat jej istnienia. W kilku potężnych błyskach myślokształtów otrzymali wiedzę o sztucznym świecie.

Świecie, na którym powstał symulant życia - nieprawdziwe istoty, zwące siebie ludźmi. Zaistniały na chwilę w tysięcznej części ostatniej sekundy trwania eksperymentu. Niestety N'shaarianie nie mogli sobie pozwolić na to, by eksperyment trwał dłużej. Mimo, że smutek, okrucieństwo i wszystkie te straszne uczucia, które odebrali jako przekaz myślokształtów z ludzkiej planety, były bardzo ciekawe, choć przerażające (jako, że N'shaarianie nigdy czegoś takiego nie doświadczali - po prostu nie znali tych uczuć), musieli eksperyment przerwać. Według wyliczeń jeszcze kilka tysięcznych sekundy i rozwój techniczny Ziemi osiągnąłby ryzykowny poziom. Zaistniałoby zagrożenie, że nauczą się podróżować między wymiarami. Oznaczałoby to, że teoretycznie mogliby nawet przeniknąć do n'shaarańskiego wszechświata i stać się prawdziwymi materialnymi bytami.

Ludzki wszechświat został wykasowany. Eksperyment zakończył się pełnym sukcesem.

-----

Ostatnie chwile istnienia naszego wszechświata: Ziemia. USA. Dom Stephena Wintersa w Los Angeles

Stało się to, o czym Stephen od dawna wiedział. Patrząc w zadumie na znikającą rzeczywistość, zastanawiał się, jaki to wszystko miało sens? Dlaczego tak się szarpał, ośmieszał w oczach świata usiłując powiedzieć ludziom prawdę? Jakie to miało znaczenie? Jakie w ogóle cokolwiek miało znaczenie, skoro z góry było przesądzone, że świat przestanie

istnieć. Zresztą... „istnieć” - dobre sobie! Przecież Ziemia i wszechświat, cała rzeczywistość, tak naprawdę nigdy nie miały miejsca.

Gdy Stephen skończył badania, gdy ujrzał ich wyniki, w ciągu kilkunastu sekund całkowicie osiwiął. Przeraziło go to, co odkrył. Straszliwa prawda. Szarpał się potem wewnątrznie sam ze sobą. Przez kilka dni zastanawiał się, czy zachować tę wiedzę dla siebie, czy ujawnić ją światu. Ostatecznie uznał, że ludzie mają prawo wiedzieć. I co to dało? Nic! Publiczne go wyśmiano.

Ogłosił, że wszechświat i cała otaczająca ich rzeczywistość jest tak naprawdę gigantycznym hologramem; skomplikowanym komputerowym programem. A oni wszyscy uznali go za pomyłeńca a jego największe odkrycie okrzyknięto największą brednią wszech czasów. Stał przy oknie i patrzył jak ten cały hologram znika, sześcian po sześcianie, klaster po klastrze, znika z boskiego dysku twardego.

Z jednej strony było to przygnębiające - świadomość, że się nigdy nie istniało - a z drugiej czuł ogromną satysfakcję bo wiedział, że ci wszyscy, którzy go wyśmiewali teraz musieli zmienić zdanie, uznać jego wielkość i geniusz! Ponura to satysfakcja... bo i po co chwała i uznanie, gdy się właśnie powoli przestaje istnieć?

To koniec wszystkiego, ale czy ludzkość nie zasłużyła na taki los?